



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i
sgr. 20

Ponad zatoką Salaminę.

Ponad zatoką Salaminę
Ogniste gaśnie słońce;
Złoci się morza błękit siny,
Mienia się fale lśniące;
A wzdłuż wybrzeża z lutnią w dłoni
Ktoś idzie siwowłosej;
Wietrzyk mu zlekka w struny dzwoni,
Śpiące w nich budzi głosy.
To Homer—stary rapsod ślepy,
W ciemności wiedzie kroki;
Tak patrzył w jasne niebios sklepy,
W Olimpu szczyt wysoki,
Że blask wypalił mu źrenice,
I dziś ten człek niebogi
Za przewodnika ma tęsknice
Wśród swej samotnej drogi.
On tu pamięta, jak nad skałą
Samotny alcyon krąży,
Jak fala bryzga pianą białą,
W dal mglisty żagiel dąży.
A toń się wznosi i opada,
Cienie grają i luty....

Na powalonym glazie siada.
Palce kładzie na struny....
Drgnęły—jak serce w jego łonie,
Włos siwy wiatr przewiewa;
Zcicha Egejskie szemrzą tonie,
I stary rapsod śpiewa.

Śpiewa swej ziemi dzieje dawne,
Zamierzchłych wieków czasy:
Bogi, tytany, męże sławne,
Ofiary i zapasy.
Śpiewa a głos się coraz wzmacza,
Rumieniec barwi lice:
Na czole siadła mu powaga,
Zapala coś źrenice.
Wstał—już oparcia mu nie trzeba,
Prostuje się i rośnie;
To wzrok podniesie gdzieś do nieba.
Tęskniąc i miłośnie.
To znów dostojny i wspaniały
Spojrzenie niżej puszcza,
Jakby się zbiegła między skały
Ogromna ludu tłuszcza.
A gdy natchnionej jego pieśni
W cichym zachwycie słucha,
On w nią z serdecznej swojej cieśni,
Wrzącego leje ducha.

Tak marzył ciemny rapsod stary,
W nagłym porywie dumy
Biorąc za ludzkich głosów gwary
Bałwanów wodnych szumy.
Bo dawno zaszło złote słońce,
Księżyc się wzbił wysoko,
A przyływ morza fale drżące
Rozbijał pod opoką.
I nędzarz biedny mary roi,
Zapał mu pierś rozpiera:
Tam przed nim smukły młodzian stoi
Z obliczem bohatera.
Tu grono niewiast lży wylewa,
Lice w zasłony chowa:

Aż wybieżała naprzód dziewa,
Kaplanka snadź Febowa.
Ta go promiennym wzrokiem pali,
W pierś sypie mu żarzewie....
Huczą bałwany morskiej fali,
Przy Homerowym śpiewie,
I wiatr go niesie, bierze woda,
Gwiazdy i chmurki nieba,
Aż się napoi nim przyroda,
Grecka go wciągnie gleba....
I głab' go morska nie pochłonie,
Bo lata, wieki miną,
A Temistokles go w swem łonie
Znajdzie pod Salaminą.

Marya Ilnicka.

POGA WĘDKA.

Wielki post wyróżnia się u nas cechą filantropijno-artystyczną, czy artystyczno-filantropijną. Robimy się naraz muzykalnymi. zamilowanymi w nauce i sztukach pięknych, pozujemy na towarzyskich sensatów, którzy gromadzą się na salonowe rauty i udają, że z wielkiem zajęciem słuchają deklamacyi, lub śpiewu obiecujących dylletantów i dylletantek; próbujemy bawić się rozmową o najważniejszych wypadkach bieżącej chwili: słowem, zmieniamy się do niepoznania z ustaniem karnawału.

A zarazem ożywiają się w nas uczucia filantropijne i humanitarne; przypominamy sobie cudzą biędę i cudze potrzeby, rozwiązujemy mieszek i „znana nasza ofiarność” daje koncert publiczny.

Każdy tydzień niemal zaznacza się u nas jakąś dobroczynną datą i firmą czy-to na afiszu, czy w rubrykach dziennikarskich.

Wczoraj słuchaliśmy muzyki, śpiewów i deklamacji na koncercie uczniowskim, urządzonym staraniem dyr. Münchheimera; niebawem wielki koncert Moniuszkowski, o którego celu wspominaliśmy przed kilku tygodniami, zgromadzi nas w salach reutowych, o ile nb. pozostaną nam grosze po koncertach Barcewicza, Zofii Menter i innych wirtuozów, zapowiadających swój najazd na muzykalną Warszawę.

Wszelkie instytucje dobroczynne układają też programmy rautów, widowisk, żywych obrazów etc. zapomocą których zamierzają zebrać jaknajwięcej funduszy dla zabezpieczenia sobie dal-szego bytu i działalności pożytecznej.

Odczyty publiczne gromadzą w sali ratuszowej licznych, na szczęście, słuchaczy.

Po miłości—przyroda stała się głównym tematem pouczających wykładów z katedry i z kolei w dwóch zajmujących pogadankach popularnych p. Adolf Jankowski, znany botanik, ogrodnik i redaktor jednego u nas specyjalnego w tym rodzaju pisma, mówił o drzewach naszych, poetyzując w miarę wierzby, graby, buki, dęby i modrzewie, których, niestety, coraz mniej na naszej ziemi.

Mickiewicz i „Pan Tadeusz“ pomogli wiele wymownemu prelegentowi, obdarzonemu nie tylko oświeconym umysłem, ale duszą artystyczną i poczuciem piękna w przyrodzie.

Mniej wdzięczny, ale stokroć poważniejszy temat obrał sobie na doraźnej katedrze prelegentkiej pan W. Kozietulski, magister nauk przyrodzonych, mówiąc o granicach pojęcia i zaprawiając polemicznym charakterem przeciw szkole materialistów swój odczyt, opracowany starannie, drobiazgowo, a o ile możności popularnie. Przyrodnik stanął w obronie ideałów, zagrożonych nowymi teoryjami naturalistów i filozofów skrajnego skrzydła pozytywnego obozu. Wykazywał, gdzie i u jakiego punktu doświadczenia nauki poważnej stanąć muszą, nie mogąc poprzeć swej nowej hipotezy, którą tylko nowe przypuszczenie zastąpić zdoła. Przestrzegał zatem przed zbyt śmiałością głoszonych twierdzeń i ślepą a zrezygnowaną wiarą we wszystko, co się podobą głosić zapamiętałym materialistom.

Większy obiektywizm w traktowaniu swego zadania i uniknięcie wycieczek przeciw niepodzielanym teoryjom i ich głosicielom, byłyby poważniejszy efekt i uznanie wywołały wśród grona uważnych słuchaczy.

Zawsze najchętniej na katedrze prelegentkiej widziany, bo zawsze dużo umysłowego pożytku przynoszący swym słuchaczom, Dr Jędrzejewicz z Płońska, znany zaszczytnie lekarz-astronom i tym razem stwierdził ogólne zaufanie, opowiadając zajmująco a przystępnie „o przeszłości świata fizycznego“.

Prelekcje Dra Jędrzejewicza mają dla Warszawian jeszcze jeden wabik więcej poza swoją wartością naukową: objaśniane bywają niknącymi obrazami zapomocą słonecznego mikroskopu, jest zatem czego posłuchać, a co dla wielu bywa ważniejszem—jest na co popatrzeć.

Publiczność nasza lubi wszelkiego rodzaju eksperymenty i niespodzianki, jest zwolenniczką metody poglądowej niemal we wszystkim i tak pomimo całego zachwyty i uznania dla talentu Sienkiewicza wołałaby, aby projektowane żywe obrazy z przepięknej jego powieści „Ogniem i mieczem“ ułatwiły jej zapoznanie się z tą najbardziej sensacyjną nowością, aniżeli same cztery tomy, które przeczytać trzeba od deski do deski.

Projekt wszelako, powstały w pomysłowej głowie a dobrych sercach opiekunów „Schronienia dla nauczycielek“—pozostanie prawdopodobnie w granicach nieziszczonych pragnień; wyręczą nas w ten Krakowianie, którzy od miesiąca przeszło robią przygotowania do świetnego w tym rodzaju widowiska u siebie.

Korrespondenci krakowscy nie zaniebają zapewne w najbliższych swych listach zdać sprawy z tej najgłośniejszej, choć zupełnie zasłużonej, reklamy, jaką kiedykolwiek doczekało się

u nas dzieło niepospolitego talentu. Któż pamięta książkę polską, takim odrazu powszechnem uznaniem i odznaczeniem przyjętą przez ogół, sprzedającą nawet zdanie krytyki?... zaledwie autor zdołał odłożyć pióro i podpisać swe dzieło ukończone, już jeden z najrzeczniejszych i najbardziej wymownych krytyków, prof. Stanisław Tarnowski wstąpił na publiczną katedrę, by o tej rzeczy mówić na gorąco i uwieńczyć ją słowem, jak laurem.

Szkoda, że nie mogliśmy z ust prelegenta samego wysłuchać rozbioru ostatniej powieści Sienkiewicza, ale poznać ją mamy dopiero w druku, który niebawem rozpocznie *Niwa*.

W tak gorącej i pogodnej atmosferze ogólnego uznania i życzliwości talent Sienkiewicza jeszcze bujniej zapewne rozkwitnie i rzuci nam znowu garść takich pereł, jak „Szkice węglem“, z „Pamiętników nauczyciela“, lub „Latarnik“, w których nie sama przeszłość, ale i teraźniejszość natchnie go do pochwycenia tych oderwanych akkordów smutnej pieśni społecznego czy indywidualnego rozstroju.

Że umiemy oddawać sprawiedliwość, nie tylko młodemu talentom, ale uznawać pracę i zasługi starszych, świadczył obchodzony w dniu 15-go b. m. jubileusz dwudziestopięcioletniej działalności pisarskiej Waleryi Marrené (Morzkowskiej). Od pojawienia się jej pierwszej powieści „Gładyator“ upłynęło ćwierć wieku, a wytrwała autorka pióra z ręką nie wypuściła i w całym szeregu utworów beletrystycznych rozwijała idee emancypacyjne i postępowe, stając w obronie praw kobiecych.

Jakkolwiek na wiele poglądów i dążeń jubilatki, sławionej za to właśnie przez „młodą prassę“ i krytykę zgodzić-by się bezwzględnie nie można, to w każdym razie uznać trzeba pracę dla przekonania i nieznużoną twórczość talentu, który przez dwadzieścia pięć lat służył śmiało zasadom i głębszą kierowany myślą rozwijał się w wytkniętym kierunku.

W salach Resursy Obywatelskiej odbył się tedy jubileuszowy raut na cześć p. Morzkowskiej, około której zebrało się prawie 200 osób obojej płci, bez względu na różnicę przekonań niosących wyraz uznania pracy i życzliwości dla autorki.

Adres z podpisami „wielbicieli talentu i przyjaciół“ jubilatki, jakoteż kosztowny serwis srebrny były materialnym tego wyrazu przydatkiem, a dość znaczna summa, powstała ze składek uczestników rautu, a złożona w redakcji *Tygodnika ilustrowanego*—upamiętnić miała tę chwilę dobrego uczynku, bo wspomóżeniem biednych uczennic według rozporządzenia samej pani Morzkowskiej.

Przemówienia pp. Ludwika Jenikego, Deotymy, Gersona, Kotarbińskiego i J. M. Kamińskiego, telegramy od zamiejscowych literatów i literatek były moralną zaprawą tego aktu, któremu bardzo właściwie odjęto charakter gastronomicznej biesiady, równającej serca i umysły... z żołądkami przy tego rodzaju uroczystościach.

Wspominaliśmy w ostatniej Pogawędce o projekcie założenia wyższej szkoły dla kobiet pod pretensjonalną nieco firmą Akademii naukowej. Bliższym wszelako urzeczywistnienia zdaje się być zamiar i wniosek utworzenia w Warszawie szkoły bon i piastunek, której praktyczniejszy na razie charakter i łatwiejsza organizacja umożliwiają bardziej wykonanie zakreszonego planu.

Nie potrzeba chyba dowodzić, że szkoła taka przydałaby się u nas bardzo, że wyrugowanie z domów polskich i rodzin obcego żywiołu wychowawczego a zastąpienie go odpowiednio ukształconym i przygotowanym swojskim—musiałoby tylko pożytek przynieść za sobą, że wreszcie umożliwienie kobietom skromniejszego stanu i poziomu umysłowego nauki wychowywania dzieci naszych odpowiednio do zasad pedagogii i higieny byłoby trwałą zasługą, a nawet ważnym zwrotem w lekceważonym, niestety, kierunku prowadzenia i rozwijania najmłodszego pokolenia.

Odezwały się też w *Kuryerze Warszawskim* głosy kilku matek z radą, pomocą i zachętą w celu założenia takiej szkoły bon i piastunek przy ogródku Freblowskim; przedmiot zasługuje na

uwagę i poparcie, nie tylko głosowne. O to u nas najłatwiej, bo słowo nawet drukowane przestało, niestety obowiązywać do czynu; ale trzeba, aby się znalazła inicjatywa silniejsza, aby te matki, które tak dobrze rozumują, tak dobrze czują i pragną dla dzieci swoich pożytku większego, a dla siebie wyręczenia, nie poprzestały na samem odczytaniu artykułów w *Kuryerze* i pochwaleniu ich treści.

W każdym salonie niemal zbierają się u nas wpływowe damy i osoby w tej kwestyi bardziej interessowane: niechże zamiast nudnych i zużytych tematów o modzie, nowinkach brukowych i t. p. rozpoczną i poprowadzą dyskusyję w przedmiocie poważniejszym, a zwłaszcza niech się starają odrazu doprowadzić do jakiegoś praktycznego rezultatu i same dadzą zawiązek, choćby tylko moralny, przyszłej instytucji.

Z czasem będą sobie wzajem wdzięczne za tę energię, gdy zaczną korzystać z owoców własnej gorliwości.

Naturalnie, iż dzisiaj trudno zaprzeczyć konieczności, która w braku dobrych bon polskich, każe sprowadzać Szwajcarki, Niemki, Angielki, i cudzoziemkom oddaje pierwszeństwo—ale gdy się wytworzy pożądana konkurencja, gdy z otwartej szkoły wyjdą wykwalifikowane kandydatki,—któryż dom polski nie zechce przyjąć piastunki i wychowawczynie swojskiej, rodaczki, a zastępujące we wszystkim cudzoziemkę, bo i w języku obcym, któregoby taka szkoła uczyć musiała.

Nie dajmyż dobrej myśli zwietrzyć w pustych słowach!...

Na zakończenie znowu los każe mi krzyżyk postawić przy nazwisku dobrze znanem, a wielce sympatycznym; w dniu 21-ym 3 m. o godzinie 3-ciej rano, zmarł w Woli Cygowskiej, w powiecie Radzyńskim ś. p. *Prot Adam Jacek Lelewel*, rodzony brat młodszy znakomitego historyka Lelewela, weteran wojen Napoleońskich, kawaler orderu *Virtuti militari*, Legii Honorowej, były poseł powiatu Węgrowskiego na sejm r. 1825, sędziwy starzec, obywatel powszechnego szacunku i czci godny.

Nieboszczyk był jeszcze człowiekiem zeszłowiecznym, bo urodził się w XVIII-em stuleciu r. 1790; do ostatniej chwili zachował zupełną pamięć i przytomność umysłu. Przeszło pół wieku spędził, jako prawy ziemianin, gorący obywatel, patriarchy rodziny licznej, w dziedzicznej swej wiosce, w której zebrał znakomitą bibliotekę, a w niej jako najcenniejsze relikwie przechowywał wszystkie cenne rękopisma i korespondencje wraz z rytowanymi blachami brata Joachima.

Postać to była niezmiernie sympatyczna i szacunku godna.

Pokój i cześć dobremu obywatelowi!

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Milcz!—zawołała — nie broń go! nie broń. Tyś może także taki, jak on... gładki i słodki a zimny i okrutny, jak żmija. Tyś do niego podobny. Gdy patrzę na ciebie, sama nie wiem, czy ścisnąć czy odpychać. Kocham i nienawidzę ciebie. Moja krew w tobie, a twarz cudza. Wszystko wzięłeś po nim.

— Matusiu — przerwał Sylwan — mylisz się: wzięłem po tobie nienawidzę oszukaństwa, obłudy i kłamstwa—i tych ludzi, co niemi żyją. Wzięłem po tobie miłość pola i pracy, ziemi i roli, i życia zdrowego pod niebem gołem.

Lepiej mi tu, niż tam, gdzie pół życia spędzać muszę, po twojej woli... Wszakże mnie wypędzasz sama, wszak żadasz, abym do nich powracał.

Stara potakująco głową skłoniła.

— A tak—rzekła—bo ja wiem, że ty masz jego krew, jego naturę i tobie tego, co mnie, nie starczy! przedziej później, gdy ja się położę do zimnej mogiły—ty ztąd polecisz ptakiem do swoich i tam zapomnisz o mnie.

— Nigdy!—zawołał Sylwan silnym głosem.—Nie znasz mnie, matusiu... Prawda, żyję z nimi i oni mnie mają za swego—bo mnie wychowano, nie na sierotę, ale... na paniczą—ale mi najlepiej tu... gdy razem z naszymi parobkami idę w pole, gdy się w śmierć zamęczę, gdy mnie wicher wysnaga i deszcz wypierze... gdy wieczorem powrócę do ciebie słuchać u ognia tęsknej ukraińskiej pieśni.

Stara się wzdrygnęła.

— O! — rzekła — tej pieśni nikt nie słyszał, komu ona nie brzmiała na szerokim stepie... Ona tu umiera bezdzwiczna, lecieć nie chce, bo nie ma do kogo. Pieśń ta, jak ja—we łzy się rozplywa i jęki...

Otarła oczy, na których łzy błysnęły, westchnęła głęboko — kilka razy rzuciła głowę i — przypomniawszy coś sobie prędko, pobiegła do drzwi, wołając—Tatiano!

Za progiem zjawiała się starsza od gospodyni kobieta, której wiek i budowa krzepka nadawały mężski charakter. Rysy jej twarzy, poorane marszczkami głębokimi, grube, wyraziste, nie już w sobie niewieściego nie miały... Starość nie odejęła jej siły: poruszała się śmiało i żywo. Siwe oczy patrzyły chytrze, mądrze i bystro. Z wyschłą pierśią, o grubych kościstych ramionach, z rękami silnymi, na których oplatały się żyły i mięśnie, stała, w bok się podparwszy, czekając rozkazu; chociaż jedna z nich była panią, druga służką, nic tego stosunku nie znamionowało. Jak równa jej, stała przed starą Tatianą.

Ruchem głowy zdala powitała poufale Horpińskiego i zamruczała:

— A co?... co tobie?... Horpyno?

Stara wskazała ręką na siedzącego.

— Widziałam przecie, że przyjechał—odezwiała się Tatiana. — Wieczera się gotuje dla nas i dla niego.

— Ale on ma gębę popsutą — wzgardliwie do dała Horpyna.

— Nie — zawołał z ławy Sylwan — wiecie, że jem to, co wy, inic innego tknąć nie chcę.

Dał znak Tatianie, która, głową potrząsłszy, odeszła. Drzwi się zamknęły. Milczenie trwało czas jakiś.

Horpiński rozpytywać zaczął o roboty w polu: czy się poczęło żniwo, czy skończyła kosowica, czy matka była z parobków kontenta? Półśłowami zaledwie odpowiadała mu na pytania, a w głosie jej ciągle brzmiała jakaś burza i tłumionym gniewem. Myślała o czem innym. Widok syna budził wspomnienia, uśpione namietności, ukołysane niepokoje.

Horpiński próżno chciał myśli jej odwieźć od przeszłości.

Sama ona w ostatku, przemagając się, zwróciła się ku czemu innemu. Sylwan siedział przy oknie, tak, że światło z niego padało mu na włosy. Młody jeszcze — poczynął siwieć ku skroniom.

Oko matki padło na te srebrne nitki i zwilżyło się łzą. Zbliżyła się, pochylając na głowę jego.

— A! — rzekła z boleścią — przed czasem tobie kwitną mogilne kwiatki, gdyś życia tylko piołunów się napił — dziecko ty moje... Tobie dawno potrzeba miłości, szczęścia, gniazda—a dla mnie i przez niego ich nie masz...

Wyrzecz się—bo mnie! ja nie chcę ci być kamieniem u szyi.

Horpiński pochwycił ją za rękę i całować począł w milczącym rozrzewnieniu.

— Nie mów tego, matko—odezwał się.—Dostę ty łez wylałaś przez niego i dla mnie: ja ci dług święty płacę, a świat ten... ten... (wskazał palcem w dal)—o! nie nęci on mnie i nie pokusza...

Zamyślona stała Horpyna.

— Nie mów tego—zamruczała—nie kłam. Ja ich znam... kobiet tych gładkich widziałam dużo.

Zdrada w nich i kłamstwo, ale urok mają wielki. Jest która poczciwa? — ja nie wiem!... Rodzą się może, jak dzieci Boże, ale zawczasu im psują serce w kolebce, a jak lirnikiem, co mają śpiewać, wyjmują oczy, tak im, co mają zdradzać,—wylupują serce w końcu. A—no byś wzięła którą, jak zabawkę, i porzucił — niech-by płakała... Jaby się śmiała!

Powiedz — nie pokochałaś tam której?

Horpiński się zżymnął.

— Nie—rzekł sucho—i u mnie serce zawczasu wyszło... Dostę było patrzeć na ciebie...

Matka pocałowała go w głowę i patrzyła w okno zadumana.

— On!... on—mruczała w pół do siebie sama—wszystkiemu winien... on!

Ścisnęła pięść; Sylwan ją pochwycił i całował.

— Matusiu—rzekł — ja jego winy zmniejszać nie będę. Zgrzeszył on—ale żałował. Dla mnie przecież był ojcem dobrym, nie zapomniiał i o tobie.

— Co?—rozmiała się gniewnie kobieta — co? zasypał nas groszami, płacąc za wszystko złotem... jakby łzy można zapłacić, jakby ból można okupić, jakby serce, jak garnek pęknięty, można złotym drutem zszyć!

Sypnął garścią plew, bo u niego było dzieł jak plewy — co go to kosztowało? — a jam życie mu dała, i umrzeć nie mogłam, gdy czas był umierać.

Namiętnie ścisnęła syna i jeszcze namiętniej odepchnęła go od siebie.

— Ty, ty musisz go bronić—zawołała—więcej masz w sobie jego krwi, niż mojej. Podobnyś do niego, jakby on żył wstał z mogiły. Ty go nie możesz nienawidzić i, jak ja, przeklinać.

— Matko!—przerwał Horpiński.

— Ha! wdzięczny chcesz być — podchwyciła stara—za co! że ciebie zrobił paniczem, abyś, chodząc po świecie z płamą na czole, nie mógł imienia ojca ni matki powiedzieć i musiał się ich zapierać.

A co twoje za życie?... a jaka dola twoja? Zgłodu nie umrzesz — na łakocie ci stanie. Chlebem i łakociami nie żyje człowiek! Serce ci wysycha, włosy siwieją—trucizna tej krwi cię zjada.

I ścisnęła go namiętnie raz jeszcze, a łzy polały się strumieniem z oczów i zaniósł się z płaczem. Sylwan obejmował ją, tulił, nieśmiało już rzec słowa. Wtem, z grubym obrusem na rękę, weszła do izby stara Tatiana, zmarszczyła się, spojrzawszy na swą panią, rzuciła obrus na stół i silnymi rękami pochwyciła, odcinając od syna.

— Dostę—tobie w te łzy się rozplywać — zawołała rozkazująco prawie.—Jeszcze ich mało wylałaś? Takie—to twoje męstwo, kozacze dziecko—co się niem czwanisz i chwalisz... W tobie już niema kropli krwi starej, dumnej tej krwi... i gniew zgąsł, tylko woda w żyłach i na oczach woda! Srom tobie!

Horpyna odepchnęła służkę silnie.

— Milcz—zawołała, oczy ocierając.

W izbie po tym nakazie zapanowało wistocie milczenie. Tatiana zimno i obojętnie, jakby się nie rozgrzała przed chwilą—zaczęła stół grubym nakrywać obrusem. Sylwan pozostał niemy, na ławie pod oknem.

Nawykły był smutku, za każdym przyjazdem swoim do matki, przechodzić przez takie żale, łzy i narzekania; lecz, choć pozornie zimny, błądy, wzruszony, zmęczony, smutny—czekał końca.

Tatiana wyglądała obrus starymi kościstymi palcami, patrząc na stół... Zwróciła się nagle do stojącej obok Horpyny.

— Tak—to syna przyjmujesz—poczęła — kiedy w gościnę przyjedzie? On tobie pociechę przynosi, a ty poisz go żołącią. Taka z ciebie matka, co dla dziecka nie ma nic, tylko piołun i goryczel...

— Milcz! — podnosząc głos, powtórzyła stara i jak pijana, zataczając się, poczęła po izbie się przechadzać.

Surowe słowa służki nie przeszły jednak bez skutku: uspokoiła się, otarła oczy—i machinalnie coś chcąc zrobić, z półki poczęła zdejmować sól, kubki, noże i łyżki.

Horpiński chciał jej pomódz; nie dopuściła go.

Gdy się to działo, dwaj parobcy—Harasym i Pro-

chor, zwolna się z pokłonem wśliznęli do izby po cichu i w progu stanęli.

Była to godzina przed wieczorem, gdy sama gospodyni zwykle im dawała po półkwatku wódki. Zobaczywszy ich, Horpyna poszła do szafy, dobiła z niej butel, ujęła zielony kubek duży, i nalawszy go, nieco do ust przytknęła.

Sylwan, widząc to, z ławy wstał żywo.

— Czekajcie matko — rzekł — powinienem ja przepić do nich.

I z rąk milczącej starej wzięwszy butel, Horpiński kubek rażno wychylił, zwracając się do starszego Harasyma.

— A co? dużo siana pogniło?—zapytał.

— Szerniało na pokosach, ale, sława Bohu—nie pogniło — odezwał się, przebijając palcami we włosach. Harasym. Chudoba jeszcze lepiej czasem je takie siano.

Wtem Prochor, na którego przychodziła kolej do kubka—pokiwał głową i burknął:

— Gdybyśmy byli dwa dni wprzód poczęli, jak ja chciałem, przed deszczem—by było w stogach.

— Było co robić w polu — wtrącił Harasym, a dwie roboty naraz, kiedy rąk mało—obie licha bierze.

— Do żniwa przynajmniej trzeba — odezwał się Sylwan.

— Bez tego się nie obejdzie—potwierdził starszy parobek—Ale co tu ten robotnik wart!... włóczęgi z miasteczka nie w zgrzebnie, ale w bawelnicy i ręce u nich bawelniane... Więcej to stęka, niż żnie, i odpoczywa, niż pracuje, a boleje, że mu w krzyżach trzeszczy. Ni do kosy, ni do sierpa, tylko w karczynie tańcować.

Zamachnął ręką.

— Siły oni nie mają! Nasz jeden powaliłby ich, zamachnąwszy się, dziesiątek...

Na te słowa, z ogromną misą parującą, weszła Tatiana, a dwaj parobcy zobaczywszy ją, pokłonili się i wyszli. Sylwan nie przysuwał się do jądra, czekając na matkę, ale Horpyna potrząsnęła głową i ręką ukazała, że jeść nie będzie.

— Jedz sam—rzekła—ja nie mogę, gardło mi się ścisnęło—piołun mam na języku.

Horpińskiemu także się pono jeść niebardzo chciało — nie mógł jednak nie przysunąć się do misy, aby matka nie myślała, że prostą gardzi potrawą. Siadł do klusek z mlekiem.

Tatiana zajrzała, widząc, że stara nie je, zamruczała i wyniosła mleko, wzamian podając kawał mięsa i jajecznicę.

Na podwórzu robiło się ciemno; małeńka świeczka zapłonęła na stole. Nie mówili już nic do siebie. Po wieczery wstał Sylwan, pocałował matkę w rękę, i pożegnawszy ją uściskiem, odszedł spać do izby swojej.

Ale dla niego długo nie nadchodziła chwila spoczynku. W izbie było parno; wysunął się na ławę podsienną i sparłszy się tu, zadumał się głęboko. Stare psy przyszyły mu łby położyć na kolanach, jakby go pocieszać chciały.

Dla człowieka nawykłego do towarzystwa wykształconego, do zajęć umysłowych, rozmowy o przedmiotach ogólnego interessu, do związku duchowego z działalnością całego cywilizowanego świata,—dla człowieka jakim był Sylwan Horpiński—pobyt w Rusinowym Dworze, w towarzystwie dwóch prostych parobków, matki rozbolelej i utulić się niemogącej nigdy, służki napół dzikiej—był niemal męczarnią. Ośladzała ją tylko miłość dla tej nieszczęśliwej matki — potrzebna czasem wykojejonym, jak on był, sierotom, samotność, niechęć dla ludzi, którą w nim stanowisko jego społeczne wyrobiło.

Naostatek Sylwan miał coś w sobie ze krwi matki; wspomnienia przywiązywały go do Ukrainy, a od tych prostych ludzi wiało stepem.

Nałóg przebywania w tej pustelni kilka razy do roku pobyt czynił znosienszym. Wesółych chwil tu jednak spodziewać się nie mógł nigdy.

Horpyna, niegdyś idealnej piękności dziewczę, z dumną duszą, nie mogła się pogodzić z losem swoim. Ojciec Sylwana, którego pokochała, który ją kochał namiętnie, miał być jej mężem, rachowała na to, w myśli swej była już panią i kró-

lową — ślub dano im potajemnie pono: gdy nalegania rodziny, nacisk przyjaciół, gwałtowne odciągnięcie go od Horypny, rozerwały ten związek serdeczny.

Zmuszony do tego przeniewierzenia się, człowiek ten, kochający ją jeszcze, zapewnił, dla uspokojenia sumienia, jej los niezależny, wychowanie synowi i naostatek przekazał mu znaczną część majątku, którym mógł rozporządzać.

Wszystko to nie starczyło dla zawiedzionej, owdowiałej kobiety, do zagojenia ran serdecznych, do przejednania z wiarołomcą. Przebaczyć mu nie mogła ani losu swojego, ani tego, jaki zgotował synowi.

Dalszy ciąg nastąpi).

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3 ch AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

* A K T II.

(Dalszy ciąg).

* SCENA XII.

* Agezustrata

Agisie! Agiatis! przynieś mi dzieciątko jego, niech popatrzy! Nic nie odpowiada.

* Agiatis

Pozwól mi, że ci nogi obmyję i.... chcesz wina? przekąś chleba kawałek.

Archidamia

Cóż? nic nie gada? 1)

1) * Agezustrata

W głębokiej boleści jest syn mój.

* Agiatis

Mąż mój na mnie nie patrzy.

* Agis

Stało się—Bóg nie chciał—Dajcie mi wody na ręce! Czy jest tu kto z moich przyjaciół? Ha! aż trzech: Arcezylausz, Demades Demochares, dobrzy ludzie jesteście! Co się stało z Kleombrotem?

* Arcezylausz

Szczęśliwie uciekł do świątyni Neptuna.

* Agis

Chwała Bogu!

* Arcezylausz

A ty?

* Agis

Cóż mi radzicie, przyjaciele?

* Arcezylausz

Przebierz się za pastucha i—do Tegi!

* Agis

Za młody jestem, abym naśladował starego Edypa, który chodził po Grecji z wylupionymi oczyma i prosił litości nad sobą. Lepiej mi przyjaciele tu blisko was prochem, niż tam bez was żywym.—Efory, być to może, że mnie zrzucą koronę (a może i głowę, wszakże ja tu jak ukoronowany).

* Arcezylausz

Już zrzucili!

* Agis

Co mówisz?

* Arcezylausz

Już nie jesteś Królem Sparty.

* Agezustrata

W głębokiej, o! w głębokiej jest syn mój boleści! Ani na synka spojrzysz, ani go popieścisz.... Ręką wszystko odpycha!

* Agiatis

I mnie i dziecięcę!

* Agis

Da cie wody lustralnej! W tę pozłotowinę Miesiąca zapatrzony śniłem dziwne cuda. Kleomen! Dajcie wody! lepiej mi bez luda. Jestem wszakże człowiekiem i mam ludzkie cele. Ha! ha! Arcezylausz! Moi przyjaciele! Wszyscy mnie nie odbiegli, jak chciał zwyczaj [stary.

Demades także! a to kto? to Demochary! Na Bachusa! przyjaciel trzech w takiej godzinie. 2)

Agiatis! stół—niechaj nie braknie na winie, 3) Wy musicie być głodni. Co? Głodni być muszą.

* Arcezylausz

Co ty gadasz?

* Archidamia

Śluchajcie go, co gada, duszą Śmierć przeczuwa.

* Agis

Nie, nie, Archidamio, nie nie! Ani nasza fortuna, ani nasze mienie Nie mogą zwabić śmierci. Siadajcie do stołu! Przyjaźń ostatnia, która bluszczowemu ziołu Każe oplesć ruinę, was tu przy mnie trzyma—Agiatis! ty z czarnymi jelonkami oczyma, Nie patrz w ziemię, zespól się tu i rozjaśń lice 4).

* Archidamia

Nie czas, nie czas ucztować! W duchów błyskawice Isć potrzeba. Wstań, królu! weź garstkę popiołu Z ogniska i precz z domu!

* Agezustrata

Gdzież pójdzie mój biedny?

* Agezustrata

Coście mi powiedzieli, że oto spuścił oczy, w ziemię je wlepił i przytomność utracił?

* Arcezylausz

Straconego królestwa żałuje.

* Agezustrata

Królestwa? Ja mu dałam królestwo w moim żołądku.... Poł sercem moim macie oto królestwo dla niego—i sto razy go królem urodzę....

* Agis

Dosyć raz, matko moja! raz ten dosyć. A jeśli królem-bys mnie rodzić chciała, Urodź-że pierwej cały lud, przygotuj, Abym w poddanych moich znalazł braci. Karać nie umiem, ani mego serca, Umieć stosować codzień do potrzeby.

* Agis

Dobrze więc, uwolnion jestem od godności, którą z żywota matki na świat wyniosłem. Widać, że królestwo moje z tego świata nie było, bo mi je na świecie odjęto, a za światem włożono. Cóż, jak sądzicie, Efory uczynią z królem złożonym? Sądzę, że wyrok śmierci wydadzą....

* Arcezylausz

Już podpisali wyrok, już już podpisali. Tobie do Chalcioikos potrzeba świątyni.

2) „Przyjaciel trzech w kościach i ciele“.

3) „Agiatis, stół przygotuj, moi przyjaciele“

4) W jednej odmianie głównego brzmienia poeta zakończył scenę wierszem:

„Nie patrz w ziemię, lecz ciskaj zwykle błyskawice“; w drugiej wprowadza jeszcze obszerną rozmowę, w której przewodzi Archidamia, mając widzenie mistyczne—znowu w dwóch odmianach

(Pr. Red.).

* Archidamia

Nie pytaj się! Wy, proszę, trzej idźcie z Agisem. Ja was znam, myśli wasze wiem—idźcie z Agisem!

Jak nietoperze, w czarnym kościele uchrony Siadajcie po kolumnach. Mówią, że nietoperz Do śpiącego się ciała przyczepia, wysysa Krew i sam trupem tłustym odpada od trupa.— A księżyc biały patrzy na ciemne morderstwo.... Wy, przeznaczeni lękać się własnego czynu, I kląć nocy, po ciemnym uchrony kościele, Szamocąc się jako trzy skrzydlate upiory.... Ale słuchajcie! — cień, strach — a ja do was [przyjdę.

* Arcezylausz

To już czyste szaleństwo, szanowna matrono.

* Archidamia

Ty! ty! Arcezylausie, na żadną czerwoną Rękę nie spojrzysz, ale obaczysz, co będzie. Precz mi z nim!

* Arcezylausz

Bogom oto przysięgam, że wszędzie Będę za nim i będę mu stróżem w wierności.

* Archidamia

Agezustrato! syna twojego Bóg ugości, A ty zaś wydaj z kufra kobierce, amfory, Złoto mu i woń wschodnią i wschodnie kolory Rozwinać! Toż-to przecie mój wnuk i szczęśliwa Dziecina: niechaj-że mu na niczem nie zbywa, Niech odeń nędza szara duców nie odstrasza. Oto jest, patrz, kobierzec indyjski i czasza; Weź to w ręce, a to zaś sobie 5) włoż na barki 6) I pomnij na Plutona.—O! piekiel mocarki! Jakże wy mnie gwałcicie! Wszystko złe, co czy- [nie. 7)

(Arcezylausz z towarzyszącymi odchodzi 8).

* Agezustrata

Matko! czyż z Chalcioikos kościelnej ruinie Będzie mój syn bezpieczny?

* Archidamia

Róbcie, co ja każę!

* Agezustrata

Posłuszeństwo ci moje ostatnie pokażę, Bo to ostatnia z moich cnót jeszcze w polocie. Żegnaj, duchu domowy!

* Agiatis

Dom cały w tęsknocie Zostanie. O! czyn 9), abyś prędko nam powrócił. Patrzaj, synaczek ręce ci na szyję rzucił— A trzy lat ma—czy widzisz?

* Agis

Czułem—bądźcie zdrowi! (Ochodzą z mężczyznami).

* Chorus

Poszedł, a te niewiasty, posagi perłowe, Wybiegłszy za nim, stoją pode drzewy Białe jak sny, księżycem złote i różowe, Ciche jak mary.

Cóż tam za głosy z gościńca? Leonidas! Siepacze z pochodniami idą

7) „to zaś sobie“.

8) „na plecy“.

9) „No, precz ztąd do Boga“.

10) Archidamia

„Teraz, Bogowie, oto ja jestem uboga, „I nie wam dać nie mogę, oddałam już wnuka— „Dom pusty, zimny cały—kto skarbow poszuka, „Znajdzie w skrzyniach zamknięte, próżne dzieci echa— (Swierszczyk mi się uraga)!

11) „... śpiewają, abyś“.

Zabijać Kleombrotę.... Płacz nad Chelonidą!
Leonidasowi wazkie jest fortuny koło!

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Dwie miłości — dramat w 5 aktach, oryginalnie napisany przez Józefa Kościelskiego — poraz pierwszy przedstawiony w Teatrze Rozmaitości, d. 18 Marca 1884 r.

Dawno już nie mieliśmy na scenie warszawskiej dramatu współczesnego, któryby się szczerze dramatem nazywał, nie uciekając się, ani do miana, ani do pomocy komedii. Wiadomo, że jest to rodzaj najtrudniejszy, najkłopotliwszy ze wszystkich. Obmyślenie tego, co się nazywa technicznie *fabułą*, jest tu zadaniem nietyle zawiłym dla imaginacji, ile drażliwym dla praktycznego zmysłu. Każdy autor takiego dramatu potrzebuje nietylko talentu, ale i rzeczywistej odwagi. Obmyśleć, wynaleźć dramat historyczny jest daleko łatwiej. Historia stoi niby skarbnica dla wszystkich otwarta, złożona z wypadków wyso- bionych, indywidualnych, po które sięgać można, jak po każdą rzecz świata zewnętrznego; w życiu współczesnym odgraniczenie jednych zjawisk od drugich, określenie każdego wypadku i nadanie mu właściwych zarysów i reków do samego poety należy, który musi tu być nietylko poetą, ale i myślicielem. Jedni dopomną się „kwestyi żywotnych“, drudzy prawdy i żaru obyczajów; ci uderzą na tendencją, inni sarkną na „wzorki“; temu sfera obyczajowa wyda się zbyt arystokratyczną, innemu, przeciwnie, zbyt demokratyczną; w środku, w błogosławionym środku, jakiego się pragnie w życiu, utrzymać się trudno, a potrosze i niewdziecznie, bo najlepsze recepty dla życia są zwykle najgorszymi dla sztuki.

Dwie miłości rozgrywają się w atmosferze moralnie niezdrowej, a przedstawiają typową walkę dwóch kobiet o mężczyznę — bo i o cóżby walczyć miała ta lepsza połowa rodu ludzkiego, jeśli nie o gorszą? W walce jedna, Lucyna, żona fabrykanta Rolicza, wyobraża namiętność; druga, Ewa, czyste uczucie; jedna broni tylko praw egoizmu, druga ma nad nią wyższość, która po wieki wieków pozostanie nieomylnym kamieniem probierczym wszelkiej miłości: poświęcenie. Każda taka walka kobiet właściwie jest tylko examinem, popisem, gonitwą: o zwycięztwie rozstrzyga, nie męstwo i nie potęgą walczących, ale wola tego, który jest walki przedmiotem. Licha osobistość nie pozna się na wyższości i jabłko Parysowe wrzuci w błoto, ale człowiek nawet dzielny, może świadomie odrzucić od siebie uczucie, jeśli mu ono w drodze życia zacieży; co więcej nawet, obo- wiązek godności własnej nakazuje mu często uchylić się zupełnie od dobrodziejstwa, jakim darzy uśmiech, choćby najprawdziwszego, anioła: zwycięztwo zatem w najlepszych warunkach, niezaw- sze jest zwycięztwem dobrego.

Ten, o którego walczą kobiety w *Dwóch mi- łościach*, Karol Starski, nie może mieć prawa do nazwy prawdziwie dzielnego mężczyzny; ale chwytliwość swoją okupuje czystymi pobudkami czynu i uczuciami nowymi, wyższymi, jakich w da- wnym stosunku znać nie mógł. Jeśli przystaje na zaślubienie Ewy, czyni to bez zamiaru niego- dziwego utrzymania węzłów z Lucyną, a po za- ślubieniu wyższość tej niepospolitej duszy kobie- cej, która chce być dla niego tylko siostrą, choć chciałaby być światem całym — napędza go czcig- rzetelną. Czujemy, że w cieple tej czci i miłość sama rozkwitnie. Ewa więc zwycięża, ale prze- ciwniczka ma jej niespodziewanie wydrzeć zwy- cięztwo, posiadłszy tajemnicę rodu Karola. Nie- szczęśliwa kobieta, chcąc ocalić ukochanego przed straszną prawdą, przyjmuje wszystkie warunki podyktowane jej przez tamtą wilczycę, i wymawia już przed mężem swym wyraz „rozwód“. Na- domiar tragiczności, wydarzenia zbiegają się chwilowo w taki sposób, że kobieta czysta, ko-

chająca, do wszelkich poświęceń zdolna, przyjmu- je na siebie dobrowolnie przed mężem charakter kobiety występnej. Poświęcenie to najwyższe, jakiego w życiu indywidualnym dowieść można, okazuje się bezowocnem: Karol poznaje prawdę i chce się zabić; wtedy ona wytrąca mu broń z rę- ki. Prawdziwa miłość nareszcie triumfuje. Awan- turnica, która chciała usidlić Karola — przyczy- niwszy ludziom tyle cierpień — rzuca się i rozbija głowę o bruk.

Jakaż jest owa tajemnica, której Lucyna użyła za broń do wydarcia przeciwniczce mężczyzny ukochanego? Oto Karol nie jest synem Starskie- go. Wiąza się z tem dzieje dawne, długie, a ze wszystkimi szczegółami w pamiętniku umyślnym opowiedziane. Ten pamiętnik właśnie dostaje się w ręce namiętnej kobiety i jest jej narzędziem w drugiej, walnej już, bitwie o serce Karola to- czonej. Zbytecznem byłoby przekonywanie czy- telnika o tem, że etyczny cel teatru, choćby na- wet ujemnie pojmowany, na takim zawiązaniu stosunków między Karolem, Starskim i Roliczem dotkliwie cierpieć musi. Pomyślmy tylko, że Lu- cyna jest przecież żoną Rolicza...

Walka kobiet sama jedna wystarczyłaby do uczynienia dramatu zajmującym; rzucenie jeszcze pod nią tła z naturalnego ojcowstwa, złączenie obu stosunków przeciwo-byczajowych, niepraw- dliwych i nieprawych, w taki sposób, że zlewają się one w jedną przygodę — musiało nadać drama- towi naprężenie, zapewniło mu sceny efektowne, obudzające niespokojną ciekawość w widzu, a przypominające szkołę francuską, której wpływ sztuce tej wiele pomógł, ale więcej może zaszkodził. Efektowność nawet za wielką gra rolę w dramacie; poznajesz odrazu i później utwier- dzasz się w przekonaniu, że nie wytworzenie cha- rakterów dramatycznych, ale ułożenie nadzw-yczajnych przygód w dramatyczne momenta było myślą genetyczną utworu. Myśl ta nie jest dość cierpliwa, nie umie wyczekiwać stosownej chwili i rwie się od początku sztuki do nadzwyczajności, prześcigając daleko płytkość, poziomu i pospo- litość przeciętnego filisterskiego żywota. Dowód takiej niecierpliwości mamy odrazu w akcie I, kiedy Professor, brat Rolicza, przypomina mu, że przecież Karola nie zabije, bo jest jego ojcem. Jak samo znalezienie listów, któremu Rolicz za- dnych nie nadaje skutków, niepotrzebnem było, tak i *a fortiori* jeszcze przypomnienie to ze strony Professora jest całkiem zbytecznem. Skutkiem tego, że ojcowstwo nie jest tajemnicą dla nikogo, okrzyk zakończający akt IV, okrzyk, który mógł być wspaniałym sądem Salomona: „To mój syn!“, nie sprawia wrażenia. Słuchacz dziwi się, że mu tak uroczyste mówią o rzeczy, z którą on się już przez cztery akty miał czas oswoić, i to tragiczne starcie się konwenansu z prawdą, pozostawia go zimnym, nie wstrząsa nim tak, jakby niezawo- dnie wstrząsnęło, gdyby w tym porywie dwoiste- go ojcowstwa, ono samo zrzuciło z siebie nagle obłony tajemnicy.

Od końca aktu IV-go, logicznym porządkiem rzeczy, walka kobiet musi ustąpić pierwszeństwa walce dwóch ojców. Ale tu motyw pojedynku z wyzwaniem, z potrzebnymi przyborami i przygo- towaniami — po tylu latach, pomiędzy ludźmi, któ- rzy na to całe życie ze sobą żyli, aby potem w je- dnej chwili życie to jako rzecz spodloną z siebie wyrzucić — pomiędzy ludźmi, którzy wzajemnie nie mogą sobie zostawić na ziemi tyle nawet czasu i miejsca, ile ich potrzeba na rozprawę orężną, zwyczajem uświęconą, a nierozwiązyującą niczego: motyw ten, powtarzamy, wydaje nam się małym; a jeśli lichota Starskiego w akcie I przejawiała się w wynalazkach niedorzecznych, to nie prze- staje być takążsamą lichotą, gdy się w akcie V przejawia jako żądanie satysfakcyi dla obrażone- go honoru. Czem są wobec bólesci i krzywdy, jak-iej doznał Starski, wszelkie konwenansowe ho- nory? Jakaż satysfakcyą w życiu dać może po- jedynek człowiekowi, któryby się znalazł w po- łożeniu Starskiego?

Najpiękniejszym, najlogiczniejszym i najbar- dziej zajmującym charakterem w sztuce jest Ewa — typ przesłicznie kochającej kobiety. Za- zwyczaj idealistki bywają gąskami; Ewa z *Dwóch miłości* jest silną, rozumną, a kochającą bez gra-

nic. Jej rozmowy z Lucyną przyniosłyby za- szczyt najlepszej dramaturgii. Nie wszyscy ma- ją jednakową przezorność i spojrzenie w głąb życia, nie wszyscy jednakowo wyobrażają sobie naturę ludzką i konieczność w niej złożoną. Mo- gła Ewa nie przewidzieć, że żadna tajemnica ta- ka, jaką posiadała Lucyna, nie jest nigdy rzeczy- wistą, zwłaszcza tajemnicą być nie może, gdy się dostanie w takie wilcze pazury: i dlatego całe wyrzeczenie się Karola w akcie IV ukazuje nam prawdę jej duszy i cierpieć nam każe jej wła- snem cierpieniem. Niższą jest siła prawdy w Lu- cynie: po namiętnych kolejach czterech pierw- szych aktów złamanie jej etyczne, obudzenie w niej sumienia w akcie V jest nielogicznym i ni- czem upowodować się daje. Śmierć Lucyny uwa- żamy zupełnie za zbyteczną dla sztuki — ani we- wnętrźnie, ani zewnętrznie nieusprawiedliwioną; nie była ona tu potrzebą moralną samobój- czyni, nie zdoła też niczego polepszyć w stosun- kach ludzi pozostałych przy życiu: boć Ewa i Karol należą już do siebie bez podziału, a syn umieszczony między dwoma ojcami, dwaj ojcowie wobec jednego syna, zawsze-by zetrzeć się i roz- prawić ze sobą musieli — czyby Lucyna żyła, czy nie. Niepotrzebnie tylko nawracanie się jej za- pełnia akt V, w którym daleko więcej miałby do zrobienia Karol — oko w oko z prawdziwym ojcem swoim postawiony. Przekleństwo rzucone na małżonków, oburzenie się na Karola, wyrzuty czynione mężowi, poddanie się pod prawo etycz- ne, rzucenie się z balkonu: są to wszystko rysy nieprzystające do Lucyny. Przekleństwo takie zdolne jest tylko okryć śmiesznością usta, z któ- rych wychodzi, a namiętność zwierzęca nie łamie się i nie abdykuje tak łatwo.

Rolicz nie przedstawia w sobie nic uderzające- go, ale nie jest człowiekiem pospolitym; trzyma się przytem jednolicie. Bardzo dobrze to świad- czy o nim, że mu w tak późnym już wieku przy- chodzi żądza samobójstwa: nie ma dla niego miej- sca na świecie, gdzieby mógł być spokojnym. Wtajemniczanie Professora w zamysł, uwikłanie go we współnictwo — wydaje nam się motywem ironicznym, podobnie jak poprzednie na postać tę nawinięte.

Zadzierzgnięcie węzła sztuki jest prawdziwie tragicznem, ale rozwiązanie na wysokości tej już nie stoi, a winne jest temu oddanie pierwszeń- stwa efektem przed charakterami. Nie przesta- niemy nigdy powtarzać, że silne indywidualizo- wanie osób większą ma wagę w sztuce dramaty- cznej, niż dobór scen zajmujących: charaktery bujne, bogate, wyraziste, odgraniczone od świata istotnością swoją — same z siebie wydawać będą silne momenta dramatyczne. Byłe tylko przygo- da nie była całkiem powszednią, charakter logi- czny, nawskróś będący zawsze i wszędzie sobą, czy-to komiczny, czy dramatyczny, czy wytwor- zony przez ironią, jak odpowiednie charaktery Słowackiego — zdoła w każdym położeniu zająć i przywiązać, a przecież ważniejsze jest to wraże- nie ze sztuki, jakie daje *osoba*, niż to, jakie wy- wrzeć może *scena*, bo gdy scena jest tylko obra- zem, malowidłem, wypadkiem, w osobie czujemy żywe człowieczeństwo, wiekuiącą naturę ludzką: samych siebie.

Z całego dramatu najlepszym jest akt II, jako praca myśli twórczej; kto sztukę kocha, zna i ce- ni w jej istocie, a nie w formach, mniej lub więcej świetnych i jakby przemocą działających na wy- braźnią, ten aktowi drugiemu przyzna pier- wszeństwo przed innymi. Akt I wydaje nam się w ogólnej architektonice sztuki zbytecznym: sto- sunek Rolicza do robotników nic nas nie obcho- dzi; wynalazki Starskiego dają rys jego cha- rakteru całkiem również dla ruchu, działania i sto- sunków osób obojętny; a spostrzeżenie listów zo- ny przez Rolicza własne jego zachowanie się pó- źniej za epizod całkiem uboczny, zzewnątrz wprowadzony, uważać nakazuje. Ale skoro już akt ten być musi, bo jest, wprowadzenie do niego uroczystości jubileuszowej stanowi pomysł szcze- śliwy. Cały akt V mógłby i powinien być inaczej poprowadzonym: coby się tu dało zrobić, napom- knęliśmy już wyżej.

Ódkrycia zbyt wielką grają rolę w sztuce. Ta- kiego środka wolno raz użyć: powtarzanie się

w tem prowadzi do błędu. W akcie III, jakby wet za wet Roliczowi Lucyna dobija się do szuflady mężowskiej; spłoszona, jeszcze powraca, aby ciekawość swą i nienawiść nasycić. Mogłaby już teraz na samą czynność, tak wstrętą i niedramatyczną, spaść zasłona—a że nie spada, gotuje to sztuce moment krytyczny, przykry dla widza. W akcie IV sposób, w jaki tajemnicze świadectwo dostaje się do Karola—dowodzi dziwnej bezwładności całego jego otoczenia, a przede wszystkim samego Rolicza, którego przecież nie nagle zaskoczyć nie mogło.

Dyalog żywy, zręczny, poetyczny—szczególniej w drugim akcie—daje poznać, że nie jest to robota, ale utwór, coś co z duszy wyszło, choćby niezupełnie według kardynalnych praw dramaturgii. Ten dyalog wiele bardzo dobrego wyświadcza sztuce, wzbogaca ją w momentach dodatnich; ujemnym odejmuje rażącą *sui generis* ostrość. Nie tylko styl, ale i język całej sztuki jest pięknym; wolelibyśmy tylko „*interessa*“ zamiast „*interessy*“.

Rola najlepsza w sztuce była i najlepszą w grze: p. Wiśnowska dowiodła w niej talentu, którego nikt już zaprzeczyć jej się nie odważy. W ogóle wykonanie sztuki mogło zaspokoić wymagania rzeczy niezbyt wysokich. Królikowski był Roliczem, p. Marcello — Lucyną, p. Rapacki — Starskim, p. Tatarkiewicz — Karolem, p. Stromfeld — Profesorem.

Stanisław Krzemiński.

NOWINY PARYZKIE

Paryż d. 10 Marca 1884 r.

Last life nowa książka królowej angielskiej. — Wspomnienia z życia wdowiego w Szkocyi. — Przygoda z reporterem. — Czy to ogłoszenie jest na czasie? — *Uniwersytety niemieckie*, przez Ojca Didot'a, Dominikanina. Burza, jaką wywołała ta książka w prasie francuskiej. — *Przyczyny*. — Busch i jego świeżo wydane dwa tomy: *Unser Kanzler*. — Jaką należy przywiązywać wartość do tych publikacji Buscha? — *La Société de Berlin*, przez hrabiego Vasilii. — Co się znajduje w tej książce i dlaczego zakazana została w Niemczech. — *Pamiętniki pośmiertne Heinego*. *Gartenlaube* i rodzina poety. — Skandal artystyczny. — Przygoda portretu Meissoniera.

Dwie mam książki przed sobą: królowej i mnicha. Jednej i drugiej na zaletach nie zbywa—a przecież czytelnik uważny, skończywszy czytać, musi sobie zadać pytanie: *Cui bono?*

Książka królowej—jest to dzieło świeżo wyszłe na świat; autorką jego jest królowa angielska Wiktoria; ma ona za tytuł: *Last life*, ostatnie życie, coś jakby *Ostatnie przeżyte chwile*, to bowiem najlepiej tłumaczy argielski tytuł książki. Poświęcenie tej książki brzmi, jak następuje:

„Moim wiernym Góralom (Highlanders), a szczególnie pamięci L. ojego wiernego sługi i przyjaciela, Johna Browna, te wspomnienia mojego wdowiego życia w Szkocyi poświęcam z wdzięcznością.

Wiktoria, Królowa i Cesarzowa.“

To życie królowej, wdowie, trwa już przeszło lat 20; a wspomnienia lat dawnych, przeszłych—lat minionego szczęścia są tak żywe, jak były wówczas, kiedy się ukazały na świat pierwsze wspomnienia królowej, przyjęte z tak serdecznym i głębokim uczuciem admiracji przez publiczność angielską. Może te kartki wdowiego dziennika mają nawet więcej świeżości i wdzięku, niż tamte poprzednie. Tamte były powierzone staraniom i redakcyi wybranych, ale obcych, osób, te zaś, zdają się być osobistym dziełem samej królowej. W tamtych chodziło głównie jakby o wzniesienie pomnika drogiej pamięci świeżo utraconego małżonka—ukochanego i nieodżałowanego. Tutaj niepocieszona wdowa opowiada jakby historią własnego, ukojonego serca i z głęboką tęsknotą do każdego wypadku, do każdego dnia, do każdej chwili, wiąże drogie wspomnienia: dni, chwil i miejsc, pełnych dawniejszego szczęścia.

Śmierć księcia Alborta, nastąpiła 14 Grudnia

1861 r., a pierwsza kartka oderwana od dziennika królowej Wiktoryi nosi datę dnia 26 Sierpnia 1862 r. Świeża rana widocznie krwawi jeszcze i boli: myśl jeszcze jest cała oddana jednemu wspomnieniu; ale widać już pierwszy zwrot do rezygnacyi i do chrześcijańskiej pokory. Czas i wiara głęboka wywarły już wpływ swój miłosierny i widocznie nie przestają wywierać. Serdeczne rany goją się powoli, a niezapominając nigdy zupełnie drogiej i ciężkiej straty, królowa-kobieta i matka wchodzi znowu w życie, nie odrzuca radości, które jej przychodzą od świata; zajmuje się tem wszystkim, co się blizkich jej tyczy; przyjmuje czynny udział w ich życiu; schyla pokorną głowę i szepcze: „Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze“.

Ale, jakkolwiek ta książka porusza głęboko serce czytelnika, czytelnika mającego serce; jakkolwiek, mówiąc nawet politeracku—jest piękna: mimowoli przecież—to zapytanie: *Cui bono?* powraca upornie i staje na myśli—bo iluż to jest czytelników bez serca!

Jakby uprzedzając ten zarzut, który się i samej autorce nasunął może, królowa, w krótkiej bardzo przemowie tak tłumaczy to uczucie, któremu uległa, wydając tę książkę pod sąd publiczności:

„Jest temu lat piętnaście, jak opowiadanie bardzo proste, dni niezapomnianych, spędzonych wraz z tym, który je wypełnił radością i szczęściem, przyjęte zostało ze współczuciem i zajęciem zbyt drogiem dla serca tej, która je spisała.

„Zdawało się więc jej, że ta nowa książka potrafi obudzić podobne uczucie. Opowiada tu ona swe życie, tak różne dzisiaj od tamtego, i wskazuje, ile to jej serce, smutne i cierpiące, znalazło osłody, uspokojenia, w czystym powietrzu i zaciszu górskich szkockich okolic, i wśród tej góralskiej prostoty ludu, u którego znalazła niejedną naukę: rezygnacyi i wiary!“

Nic tu zapewne nie można dodać do tej prostoty a razem wzniosłości uczucia i słowa; ale potrzeba, aby każdy czytelnik miał serce tych Szkockich Górali! A i tam przecież zachodzą ludzie, z dalekich płaszczyzn, z płytkimi głowami i pustem sercem. Znajdziemy tego przykład w tej samej zaraz książce, pod datą 13 Września r. 1873, w następującem opowiadaniu:

W jednej ze swoich wycieczek w sąsiednie góry, królowa z córką swoją księżniczką Beatrixą — tą, którą uważano jako bohdankę nieśczęśliwego syna Napoleona III-go, i z damą dworu, lady Janiną Churchill, udała się w tę okolicę dziką i nad wyraz malowniczą Szkocyi, którą podanie miejscowe uważa jako przytułek niegdyś Ossyana!

„Kazałam—pisze królowa—zatrzymać powóz, i wszystkie trzy usiadłyśmy na naszych pledach pod niskim murem, i w spodu drogi i zaczęłyśmy rysować wyniosłe i wspaniałe szczyty, wznoszące się przed nami. Dzień był piękny i spokojny—a przecież tam! tam w tej głębokiej puszczy, szpiegowaliśmy nas niegrzeczna ciekawość pewnych reporterów, którzy się wszędy za nami włóczyli. Jeden z nich szczególnie, który pisze nie wiem już do do jakiego szkockiego dziennika, rozłożywszy się w trawie, śledził nas pilnie, kiedyśmy szły w górę, zapomocą prawdziwego teleskopu — i odpowiedział zuchwale Brownowi, proszącemu go, aby się oddalił; co już Janina sama miała zamiar uczynić...

„Zgodził się jednak nakoniec ustąpić, ale Brown powiada mi, że o mało nie przyszło z nim do bójki; albowiem, gdy na grzeczne wyrażone moje życzenie, abym nie była śledzoną, ten jegomość mu odpowiedział zuchwale: — Ja mam tyle prawa być tutaj, co i królowa!—Brown odparł coś trochę żywiej, ten impertynent zapytał go:—A czy ty wiesz, z kim mówisz? — Wiem—odpowiedział Brown — ale też wiem i to, że i największy par angielski nie śmiałby sobie poczynać równie, jak W Pan prosty reporter.—i dodał, że jeśli się nie oddali natychmiast, będzie miał z nim do czynienia.

„Wówczas ten jegomość zapytał:—Będiesz-że W Pan miał śmiałość powtórzyć to wobec tych panów, którzy oto tam idą pod górę, i są, jak ja, re-

porterami? — Powiem to bez wahania każdemu który się będzie znajdował niegrzecznie.

„Spór się przedłużał, ale tamci, którzy nadeszli, radzili temu jegomości oddać się spokojnie, i ten nakoniec ustąpił ich namowom.—Dobrze jest, zdaje mi się, aby wiedziano o takim postępowaniu“.

I nam się tak zdaje. Ale jeśli są ludzie w Anglii nawet, którzy tak poczynają sobie wobec samej osoby—cóż dopiero się stanie, gdy ta książka wpadnie im w ręce? Widzieliśmy już dawniej, jak się rzeczy miały. Słyszeliśmy i czytaliśmy pewne przymówki, czynione w pewnych dziennikach, co do owego-to Browna. Widzieliśmy ztąd wyniki brudne oszczerstwa, niecne aluzje, nie szczędzące ani osoby, ani dostojęstwa. A więc, pocóż dawać na pastwę swe życie? i więcej niż życie — najlepsze, najszlachetniejsze swoje uczucia?

Królowa Wiktoria, jako królowa i jako kobieta, jest to najczystszy wzór godności i zacności niewieściej. Syta lat i chwały—jak mówił Niemcewicz o Mieszk—czegóż jeszcze może żądać na świecie? Spokoju—a czyż to ku temu droga? Raz jeszcze powiadam: książka jest piękna i zająca—ale *cui bono?* Znak i to czasów, w których żyjemy!...

Pełno w tej książce pięknych i ciekawych rzeczy; pełno kartek niezmiernej wagi; prawie każda zajmuje lub zachwyci, a wiele porusza serce do głębi, potęgą uczucia i wyrażenia. Szkoda, że nie mam miejsca, aby wiele z nich powtórzyć tutaj. Żałuję! Jest tu wspomnienie o śmierci cesarzewicza Napoleona. (Czerwiec 1879 r.). Muszę się gwałtem wstrzymać, aby tu nie powtórzyć tych ślicznych kartek, tego epilogu, do historii nowożytnych Atrydó.

Przechodzę teraz do książki mnicha. Mniej to ponętne i mniej mające zasługi niż tanto—kobieta tu więcej warta, i jako pisarz i jako serce... i jako takt. Wjście na świat tej książki, o którą tu rzecz idzie, sprawiło tu prawdziwy skandal. Łatwo to przyjdzie zrozumieć czytelnikom moim, spojrzawszy na tytuł: *Uniwersytety Niemieckie*. Ażeby lepiej pojąć, jak ten wstrętny przymiotnik był drażliwym dla publiczności tutejszej, dodajmy zaraz, że książka jest panygirykiem niemieckiej nauki, niemieckiego życia, niemieckiego patryotyzmu i że tę książkę napisał Dominikanin, Ojciec Didon!!

Sławny to i rozgłosny kaznodzieja — mówiłem już wam o nim w swoim czasie, i wyraziłem już wówczas, pewne osobite zastrzeżenie co do jego nauk... mówiłem wam trzy lata temu, jak i dla czego? władza duchowna przerwała jego konferencje, wygłaszane w kościele Świętego Filipa (du Roule) w Paryżu — i wyprawiła go na rekolekcje do klasztoru Dominikanów w Corbora na Korsyce. Dziś więc nie wracam do rzeczy wiadomych. Ale, jakież było moje i powszechne zdziwienie, kiedy za ukazaniem się tu książki o Niemczech tego słynnego kaznodziei, dowiedzieliśmy się, że on w r. 1882, z rekolekcji w Corbora pojechał słuchać filozoficznych wykładów na Uniwersytecie Berlińskim!!

(Dokończenie nastąpi).

Geraldina Calverley

SZKIC Z DZIEJÓW WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ AMERYKI.

(Dokończenie)

Straszna to rzecz, gdy zawracając się w tył, po za siebie, musimy nieść powrotne kroki nasze po tej samej drodze, która nas wiodła niegdyś na szczyty szczęścia i chwały, i Dante, pielgrzym ten doświadczony, który zasnął wśród ziemskiego istnienia, co jest piekło i niebo, miał śmiałość wołając, że najwyższą boleścią ludzką jest wspomnienie szczęścia w nieszczęściu! To też powró-

do rodzinnego domu był dla biednej Geraldiny bezdenną czarą goryczy, której kropla każda padała jej na serce jak olów roztopiony, bo dręczyła się myślą okrutną: czego doświadczać musiał jej mąż — ten blady, osiwały człowiek, który w głuchym milczeniu przebywał przy jej boku? Jest przecież ślad w korespondencji Geraldiny z Jozuem Sumner, że Ralf Calverley uległ niespodziewanej metamorfozie. Namiętna, gwałtowna, despotyczna jego natura przeobraziła się — głęboki, ale łagodny, powolny na wszystko smutek, stał się w nim teraz rysem charakterystycznym; zdawało się, że rząd życia swego zdaje na żonę, którą przecież dątykało to ciężko: — „Taki jest teraz dobry, jak dziecko — pisała — zauważyłam, że zamysławiając się, niema nigdy na czole tej zmarszczki przykryj, która mu brwi ze sobą łączyła, i której tak nie lubiłam, że w początkach mego pożycia z Ralfem, bałam go się, gdy ją dostrzegłam, że mu czoło ściąga. Nigdy nie był dla mnie złym, nigdy, obawiałam się go przecież wtedy, bo wyglądał ponuro. Teraz jest tylko bardzo smutny i jeszcze mniej mówi niż dawniej — serce mi się kraje, szczególnie dlatego, że jest teraz jak jagnię!”

Może w chwili owej, gdy znalazł się samnasam z myślą o zbliżającej się śmierci, wszedł tak w siebie, że poznał plamy na duszy swojej, poznał larwę zawiści, pychy, ambicji, która mu zagroziła drogę szlachetnego istnienia dla wielkich spraw, wielkich interesów ludzkości i ojczyzny, która go poniżała, czyniła małym i lichym. Był w nim zaród na bohatera, tkwiła w duszy jego siła heroicznego uniesienia, heroicznego zapалу, a on zmarnował ją przez nędzę miłości własnej, nieopuszczającą mu swobodnego, szczęśliwego rozpromienienia się wśród bliźnich mu istot. Kochał gorąco tylko dwie osoby: matkę i żonę, bo one obie oddały mu się i poświęcały całkowicie, czy on przecież czynił to kiedykolwiek dla kogo? Może Ralf Calverley uczuł to w ostatniej, jak sądzili, godzinie swego istnienia — może zasmucił się nad duchem swoim i choć życie przedłużyło mu się jeszcze, on już pozostał w tem zasmuceniu żalonym, które zmiękczyło twardość jego natury. Pole to wielkie dla studyów filozofa — człowiek taki, który wrócił już od wrót śmierci, od progu wieczności, który obejrzał się na życie swoje, jako mający się z niem rozstać. Geraldina dostrzegła w mężu tylko taką zmianę, że brwi nie ściągały mu się gniewnie, że zrobił się „jak dziecko” powolnym, „jak jagnię” łagodnym.... Dlaczego przecie? trudniej jej to było zrozumieć, choć może byłaby znalazła w tem odkryciu źródło pociechy, bo przeświadczenie o udoskonaleniu duchowym, wyniesienie przez jej męża z nieszczęścia, które przerodziło go w inną, nową osobistość. Czy nie było to już zapóźno? Nie... Dopóki człowiek ma jeszcze jakąś część drogi ziemskiej do przebieżenia, jeszcze życie jego podsumowaniem nie zostało i ostatni obrachunek nie wypadł jeszcze.

Rana więźnia zaogniła się przez wzruszenia i trudy podróży: trzeba więc było zatrzymać się kilka tygodni w Bostonie, i wiosna to już była, gdy dosięgano celu podróży. Przybywano tam wieczorem późnym i może tak zrzucił przypadek, może litość officera konwojującego, że światła błyskały już z okien wsi Endicot, gdy smutny orszak stanął przed budynkiem gminnym, gdzie internowany musiał być oddany władzy miejscowej i nastąpiła scena dziwnie smutna. Ralf Calverley przez strzaskanie kości w samym jabłku ramienia, stracił władzę w ręce prawej, nigdy już odzyskać się niemającą, i kaleka to nędzny, z siwym prawie zupełnie włosem na głowie, stanął przed sędzią Sweetapple, który przepasany szarfą urzędową, przyjmował go z powagą smutną. Łzy drżały w oczach urzędnika; błada, zeszczupiała twarz Geraldiny, opowiadała dzieje przeżyć cierpień i protokół spisany był przy nastroszeniu serc stokroć bolesniejszym, niż gdyby żona przywoziła tu ciało męża, poległego od kuli angielskiej. Ani jedno słowo nad potrzebę konieczną wymówionem nie zostało i dopiero, gdy Ralf Calverley już zawrócił ku drzwiom, aby próg przestąpić, sędzia Sweetapple przystąpił do niego i wyciągnął rękę. Lewą tylko mógł kaleka dać

mu uścisk powitalny — uścisk zamieniony w milczeniu. Przed domem czekała ciotka Miriam i gdy, ujrawszy Geraldinę, objęła ją i przycisnęła usta do ust biednej, obie poczuły, że twarze ich są zarówno mokre od łez.

W Endicot-Farm czekało już na przybywających wydzielone im pomieszkane, które się składało z pokoi zajmowanych niegdyś przez ojca Geraldiny. Obok biblioteki, gdzie niegdyś młoda dziewczyna spisywała młodzieńcze poezje swoje, znajdowała się teraz ich sypialnia i biedna wchodziła tu z sercem rozdartem wspomnieniami szczęśliwej przeszłości. Jednak, gdy po smutnem, ciężkiem powitaniu z matką, przy którym ledwo usta ośmielały się wymówić słów kilka, małżonkowie zostali sami, żona ukłękła przed mężem i objęła nogi jego: — Ralfie — ozwała się — tu nas otoczy cisza, tu musi przystąpić do nas zapomnienie przeszłości. Serca nasze wyleczą się....

On nie odpowiadał jej nic, tylko spojrzał tak smutno, jakgdyby chciał powiedzieć, że są rany uleczenia niemające.

Babka wzięła wnuczkę do siebie i to dwoje zostało ze sobą, tak prawie jakgdyby zamieszkali wśród pustyni. Okna ich wychodziły na ogród, w którym było jeszcze pusto i głucho, ale drzewa zaczynały się rozwijać, ciepły wiatr już przewiewał, wzruszając gałęzie. Zrazu ból ciężki ścisnął serce Geraldiny, gdy spojrzała tam i przypomniała sobie słodką chwilę pierwszego odebranego pocałunku, pierwszego wyznania miłości; że przecie ta kobieta miała naturę anielską, nie poczęła kłać tych miejsc, gdzie przeważała się szala jej losu. Zapłakała cicho, lecz potem, otarłszy oczy starannie, przyprowadziła tu męża i powtórzyła raz jeszcze: — Serca nasze wyleczą się....

Ach! była ona kiedyś okrutną dla tego serca, które teraz wygoić chciała — okrutną i raniącą je bezustannie dniem i nocą. Modląc się, wołała co dzień do Boga: — „O Panie! zsyłaj na niego tęsknoty i żale... nurtuj duszę jego wyrzutami....” Teraz przecie byłaby umarła z rozkoszą, byle za cenę życia swego kupić mężowi uspokojenie ducha i w liście jej z tego czasu, pisanym do Pen Sumner, żony wspomnianego poprzednio Jozue Sumner są słowa: „Dziecko tak go kocha i tak się do niego napiera, że ja musiałam wpuszczać do pokoju, choć był słaby na gorączkę i leżał, ale nie będę teraz bronić Mayi, aby mu się drapała na kolana, bo się zawsze do niej uśmiecha, a ja taka wtedy szczęśliwa”.

Dziwnie wzruszające wyrazy: Była „taka szczęśliwa” że usta ojca rozemknęły się na słaby uśmiech do dziecka swego!

Co to musiał być za życie, bo w dodatku owa gorączka, na którą Ralf Calverley zapadł na trzeci dzień po przybyciu do Endicot, miała charakter zastraszający, jednak uleczyła go świekra odwarem z ziół, jaki niewiasty indyjskie dają mężom po powrocie z wojny. Przebył on wojnę najstraszliwszą pod słońcem — wojnę, która go mogła obrać z sił i znużyć śmiertelnie. Wyzdrowiał przecież i, jak Geraldina pisała do Pen Sumner, nie przywoływano nawet lekarza, bo nie chciał tego i zakazał nawet. Prócz sędziego Sweetapple i jego żony, nikt też nie przyszedł go odwiedzić ani w czasie słabości, ani potem — nikt! Endicot-Farm stał się jakgdyby domem zapowietrzonym, do którego nikt nie zapukał. Może dla Geraldiny ludzie byłiby łaskawsi, ale ona chciała dzielić we wszystkim los męża i nie wychodziła krokiem poza dom, aby się z nikim nie spotkać. Nawet biedna jej matka, choć była to kobieta energiczna, która mając męża długo chorującego, nauczyła się oddawna sama rządzić i ścierać z ludźmi, została ogarnięta tem uczuciem nieśmiałości i całą rodzinę otoczyła samotność. Droga do Endicot-Farm mogłaby być zarosła trawą, gdyby to nie był gościniec publiczny.

Ale religijność, surowo pojęta, nie dawała wtedy nikomu ze społeczeństwa amerykańskiego wyłamywać się z obowiązków przez obrzędy jego wyznania nakazanych. Znosiły się spokojnie w miejscowości jednej sekty rozmaite, ale nie znoszono obojętnych, bezreligijnych; ściagała ich nieważność i pogarda ludzka, wreszcie dusze same nie śmiały się błąkać samopas bez uznanej idei religijnej i poza skrzydłami jawnie przyjętego ko-

ścioła. To też i Ralf Calverley nie chciał ode-rwać się od wiernych zgromadzenia swego, i w trzecią niedzielę po przybyciu swoim do Endicot-Farm, a w kilka dni po powstaniu z choroby, powiedział Geraldinie, że pragnie być na nabożeństwie. Poszedł więc do kościoła z żoną i świekrą, i w ławce jej zajął miejsce, ukazując poraz pierwszy swoją osiwałą głowę, swoje wynędzniałe oblicze tym, którzy cztery lata temu, widzieli go jako silnego męża i bohatera sprawy narodowej. Poznawano go po tem tylko, że siedł obok Geraldiny — poznawano i usuwano się z jego drogi, nie przez uszanowanie przecież, nie przez cześć dla jego osoby — „zbierano szaty swoje, aby nie dotknęły szat jego”.

Kościół Boga Chrześcijańskiego powinien być miejscem przebaczenia i miłosierdzia, ale naród każdyma, dane członkom swoim, prawo sądu i kary, którą wymierzać powinien na zmienników i renegatów. Społeczeństwo, w którym to nie istnieje, żyje w stanie moralnego bezprawia; ideał obywatelskiej cnoty tak się tam w sumieniu publicznem obniżył, że już grzech przeciw niemu popełniony odrzuci i wstrętu nie budzi, i patryotyzm gorętszy staje się kwiatem rzadkim, który koroną swoją tylko z wybranych dusz wystrzela. Gdyby przecież tak było w Ameryce za czasów, których wspomnienie budzimy, dzisiejsze Stany Zjednoczone byłyby pozostały na zawsze kolonią angielską. Ze tak nie było, Ralf Calverley musiał się spotkać z wyrazem wzgardy publicznej, musiał być przez ucziwych ludzi odrąconym.

Blady był bardzo, gdy nareszcie, dostawszy się do ławki, zasiadł w niej obok żony, której serce pękało. Chciała ująć go za rękę i ścisnąć ją, ale nie śmiała; oczy jej były spuszczone na książkę, usta śpiewały z innemi psalmy. I on śpiewał. Słyszała jego głos zrazu lekko drżący, potem przecież spokojny, płynący równo z chórem. I to przyjął „jak jagnię” tylko po chwili pewnej wystąpiły mu na zapadłe lica wypieki gorące. Pokuta tego ambitnego, pysznego niegdyś człowieka, nie była małą...

Przy końcu nabożeństwa Geraldina podniosła na matkę wzrok błagający i została zrozumianą. Świekra przez wzgląd na zięcia nie ruszyła się z ławki tak długo, aż kościół opróżnił się prawie, przecież na cmentarzu powtórzyła się scena okrutna. Czeakał go tam tłum liczny, bo zatrzymano się, aby go widzieć, i Ralf Calverley musiał znowu przechodzić przez gromadę ludzi, z których nikt nie odezwał się słowem żadnem, nie wyciągnął do niego ręki, nie skinął mu głową. Wszyscy go znali, ale nikt go nie witał.

Przecież na przyszłą niedzielę powiedział znowu żonie: — Pójdziemy do kościoła... — i tak było jeszcze dwa tygodnie, aż nadeszła Wielkanoc i poprzedzająca ją uroczystość Wielkiego Czwartku i Wieczery Pańskiej. Ralf Calverley wstał dnia tego z łóżka później, niż kiedy i był więcej jeszcze niż zwykle milczącym. Zapadł w zamyślenie głębokie i potrzeba było, aby żona przystąpiła do niego, mówiąc mu, że czas do kościoła, jeżeli tam iść pragnie? — O! tak... odrzekł jej i wdziawał odzież wierzchnią z pospiechem żywym, miał w ruchach coś jakgdyby gorączkowego, co ją przestraszyło. Ale uspokoiła się wkrótce, zauważywszy, że spokój wrócił i jemu skoro raz przestąpił próg domu. Już teraz weszło w zwyczaj, że te trzy osoby: mąż, żona i matka, przychodziły i wychodziły z Domu Bożego, jakgdyby to byli podróżnicy nieznani, zabłąkani tu przypadkiem i nie należący do nikogo przez żaden węzeł przyjaźni, czy znajomości sąsiedzkiej. Idzie też dostali się do ławki swojej nie zamieniwszy z nikim żadnej oznaki uprzejmej życzliwości. Ponieważ Endicot-Farm było jedną z najznacniejszych i najstarszych w gminie posiadłości, ławka jej właścicieli stała pierwsza przed ołtarzem, oddzielona od innych i na widoku oczu ludzkich: to też gdy przemowa księdza, budząca w sercach skruchę, i przygotowująca je wedle purytańskiego obrządku do wewnętrznej spowiedzi, wewnętrzznego aktu żalu i pokory, została wygłoszoną z kazalnicy, i ksiądz dla odmówienia modlitwy, przyzywającej łaskę Bożą, stanął przed ołtarzem, rzecz niespodziewana wzruszyła nagle zgromadzenie całe. Ralf Calverley

wystąpił z miejsca swego i klął na podniesieniu przedziału, który odgradzał tabernaculum świątyni od jej nawy.

Klął; jego postać wyniosła, jego przed czasem osiwiła głowa, stały się celem dla spojrzeń wszystkich, a on wzorem wielkich grzeszników z pierwszych czasów Chrześcijaństwa zaczął czynić spowiedź głośną. Przyznawał się do grzechów śmiertelnych przeciw Duchowi Świętemu: do pychy i zazdrości, do nienawiści bliźnich swoich, do zdrady ojczyzny!

Odstąpił jej grzesznik zapamiętały, w nieprawościach swoich zaślepiony, łamiący przykazania Boże, które pod błogosławieństwem dojrzałego żywota na ziemi, każe nam czcić ojca i matkę. Ameryka, ojczyzna jego, była mu taką macierzą po duchu, jak Bóg jest ojcem na niebiosach, a on, świętokradca, porwał się na nią i w passyi szalonej — ciós wymierzył.

Tu głowa nędznego człowieka uderzyła o kamień posadzki kościelnej — przez żal swój, przez ukorzenie ducha hardego, przez męczarnie zgryzot przebytych, błagał o rozgrzeszenie kapłańskie, jeżeli tylko wina jego odpuszczoną mu być mogła?

Głośny szloch kobiet napełniał świątynię i ksiądz, niemniej wzruszony, prądem ogólnego uczucia porwany, uczynił dla niego to, co czyniono niegdyś dla podobnych mu pokutników. Zeszedł ku niemu od ołtarza z kielichem w rękę i, udzielwszy absoliucyi z grzechów, przez żal szczery zmytych, dał mu komunię.

Gdy wymawiał: — Rozgrzeszam cię i rozwiązuję z win twoich, w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego! — Ralf Calverley podniósł ku niemu oczy, wdzięcznych łez pełne, ale przyjmując komunię, zachwiał się nagle, omdlewając, i podtrzymać go było trzeba, aby nie runął na twarde kamienie posadzki. Uczyniło to dwóch mężów najbliższych wśród zgromadzenia stojących. Poskoczyli ku niemu i ujęli pod boki, wyprzedzając nawet Geraldinę, której wzruszenie siły odejmowało. Matka trzymała w objęciu gorzko płaczącą, gdy wydawszy nagle krzyk, poskoczyła ku mężowi. Przecież ksiądz już mu dał napić się wina z ampułki na ołtarzu stojącej, i orzeźwionego oddano w ramiona żony.

W domu powtórzyła się scena niemniej bolesna, bo jeżeli jakie makowe ziarenko pychy pozostało jeszcze w piersi Ralfa Calverley, to wyrzucił je z tamąd precz, przepraszając swiękrę i żonę za to, co przecierpiał przez niego. Potem prosił swiękrę, aby za chleb jej, który kaleka jeść musi, pozwoliła mu służyć na folwarku za poganiacza wołów lub pastucha owiec. Apostołowie Chrystusa pracowali pokornie, a on, grzesznik, miałże prawo jakie wynosić się?

Poszedłby umrzeć za Amerykę, jako ochotnik nieznanemu nikomu, rzuciłby się z piersią otwartą na ciosy wroga, ale, niestety, nie miał już ręki, którąby broń utrzymywać mogła. Dziecko jego musi kiedyś dowiedzieć się o zbrodni ojca: niechże więc rosnąc, widzi jego pokutę, aby potem w miejsce wstrętu i pogardy czuło żal nad nieszczęśliwym!

Geraldina nie mogła znieść słów takich bez potoku łez gorzkich, ale ją zapewniał, że jest to dla niego dzień dawno nieznanego szczęścia i po burzach przebytych, pierwszy dzień spokoju. Spadł mu z piersi kamień grzechu, odstąpił od niego szatan poduszczeń zbrodniczych i gdyby był godzinę miłosierdzia Bożego, zostałaby mu zesłana dziś śmierć, a odszedłby wtedy z ziemskiego świata sercem uciszony, i podobny do spracowanego człowieka, którego zawołają nareszcie na spoczynek.

A był to rzeczywiście dla tego biedaka dzień łaski, choć zesłanej mu inaczej, jak tego pragnął. Nad wieczorem nadeszło z głównej kwatery pismo Waszyngtona, zdejmujące z niego karę in-

ternatu i wracające mu wolność. Stało się to za staraniem generała Honeywood i w dodatku wyznaczano Ralfowi Calverley grunta na założenie osady wśród oddalonych i pustych jeszcze, ale żywnych stron Stanu Massachusetts nad rzeką, która stanowiła zawsze wolną drogę komunikacyi ze światem. Zamieszkanie tam nie było przymusowo nakazane, ale żona dobra uchwyciła się z radością myśli o tem domu nowym, gdzie mąż jej nieszczęśliwy mógł jedynie odżyć i zagoić w ciichości krwawiące się jeszcze rany swego serca. Że ona musiała przez to odwrócić się od całego świata i wszystkich przywiązań swych, nawyków, wygod życia — to nic. Powiedziawszy sobie raz wtóry: — „Porzucisz ojca i matkę, a pójdziesz za mężem“ — odjechała z nim i córeczką swą małą w pustynię lasów dziewiczych, gdzie trzeba było trzebić grunt, aby stanąć mogła chatą człowieka żyjącego pod dachem, mającego stałe ognisko domowe. Na szczęście spotkany tam człowiek pierwotny, Indyanie, nie stawili się względem osadników wrogo, bo nie czuli w nich wrogów. Przeciwnie, zawiązała się powoli przyjaźń, której nigdy nie naruszyła zdrada; pokolenie Mohikanów, zamieszkujące lasy Massachusetts było waleczne, wojownicze, ale szlachetne i niepodstępne, więc *twarde blade*, to jest ludzie skóry białej, żyli z ludźmi skóry czerwonej jak bliźni z bliźnimi. Ralf Calverley uczył te dzieci pustyni lesistych rolnictwa, udzielał im ziarna do zasiewu, a przede wszystkim łagodził serca, głosząc im Ewangelię, opowiadając o Synu Bożym, o Chrystusie, który przebaczał nawet grzesznikom, i brał na ramiona owieczki zbłąkane, odbite od stada swego. Indyanie stawiali się nawzajem wiernymi stróżami osady Val-Calverley, sprzymierzeńcami Narodu Amerykańskiego, i dusza Geraldiny zaczęła odżywać w uspokojeniu cichego szczęścia, jak kwiat rozwija się w dobroczynnych promieniach słońca, gdy naraz spostrzegła, co mąż tał przed nią od dawna — spostrzegła, że Ralf wyrzuca krew ustami. Maya nie skończyła jeszcze lat ośmiu, gdy ojciec jej zamknął na zawsze powieki, spoczął pod krzyżem, na polance leśnej wzniesionym. Lecz ostatni jego ruch na ziemi, było to przyciśnięcie sobie do piersi ręki wiernej mu do ostatniego tchu towarzyszkę i przyjaciółki.

Została mu wierna i potem jeszcze — wierna miłości jego wdową do deski grobowej. Wróciła do matki i już nie rozstała się nigdy z rodziną wioską swoją, gdzie we dwa lata później spotkał ją zaszczyt odwiedzin Waszyngtona. Przybył do niej w towarzystwie generała Honeywood, lecz jeżeli ten przyjaciel jej młodości przybywając do niej miał jakie nadzieje ciche, na podstawie dawnych wspomnień budowane, to wracając czuł, że życie Geraldiny było poniekąd kształtem skończonym i nie mogło przeobrazić się w istnienie nowe. Zostało po niej kilka drobnych wierszyków — młodocianych westchnieniem za nieujętych nigdy ideałem; trochę dobrego wspomnienia u ludzi, z czego powstała w roku zeszłym wydana książka ¹⁾, wreszcie kwiat tak wonny i wdzięczny jak jej dusza czysta: piękna odmiana delikatnie zabarwionej, w drzewo rosnącej róży, która zdobi ogrody amerykańskie nosząc jej pannieńskie miano: „Geraldina Hawthorne“.

Marya Ilnicka.

1) The Life, poetry and correspondance of Geraldine Hawthorne-Calverley, by M. Hoppus. Philadelphia, J. B. Turner

MIŁOŚĆ.

(Z lokaja: „Przez czterdzieści lat“).

— Wiara i nadzieja może uwiędnąć i zniknąć, a miłość będzie niemniej trwać i wszystko przetrzymać.

— Kto odważy się powiedzieć, czy miłość jest szczęściem lub cierpieniem, cnotą lub grzechem? bo któż widział tych dwóch aniołów, stojących po lewicy i prawicy Boga, z których jeden zapisuje nazwiska tych, którzy przez miłość cierpieli i ponieśli śmierć, a drugi tamtych, co kochając, umieli mężnie zdobyć sobie szczęście?

— Rozkosz miłości niekoniecznie jest zawisłą od przebywania obok siebie. Pocałunek w przestrzeni posłany i przez przestrzeń do nas przybywający, może mieć słodycz miodową i jeżeli nieufność zazdrosna wytwarza nam piekło na ziemi, niebem jest spokojna pewność, że jest ktoś taki, którego myśli do nas należą, którego westchnienia spotykają się z naszymi, który o nas śni i duszą swoją duszy naszej szuka, tak nas miłością swą otacza i tak jest przez miłość naszą otoczony, jak wody dwóch rzek: Eufratu i Tygrysu, opływały w koło raj, aby zamieszkiwały go tylko dwie istoty szczęśliwe, a żaden śmiertelnik trzeci wcisnąć się między nich nie mógł.

— Zazdrość, jest to lekarstwo takie, które kropłami brane, tylko chorobę przez cierpienia wzmacnia: flaszkę całą odważnie wypijwszy, można od razu uleczonym zostać.

— Gdybyśmy byli rzeczywiście podobnymi do małp, byłoby mniej o jedno cierpienie na ziemi. Żaden Orangutang nie zabił się nigdy z miłości.

— Na sto ludzi dziewięćdziesiąt dziewięć śmieje się po pewnym czasie z miłości swojej i powiedziawszy: — Było to marzenie waryackie... nie myśli już o tem więcej. Ale jest zawsze z pomiędzy owych stu jeden taki, który, raz pokochawszy, zawsze kochać będzie, choć się sam nienawidzi za to.

— Rozwiążcie tę zagadkę: Kiedy masz bardzo mało, możesz wiele ludzi obdzielić, kiedy masz bardzo wiele, możesz dać jednemu tylko... Kobieta powiedziała mi, że to znaczy — miłość!

— Co to jest pocałunek? — Pewno to słodycz wielka, skoro tego wszystkie usta pożądają? — O! nie, jest to płomień parzący, którego lękać się trzeba; w pocałunku dusza twoja z ciebie wychodzi, a cudzą w siebie bierzesz.

— Pocałunek jest tani, łaż drogo kosztuje.

— Może od czasów Chrystusowych pocałunek został przeklętym, bo rzadko znaleźć taki, w którymby coś Judaszowskiego nie było.

— Czy wiecie, co to jest miłość? — To związek tyrana z niewolnikiem. — Bądź tyranem, ja niewolnikiem twoim być pragnę — mówi mężczyzna. Ile jest piasku w morzu, tyle kobiet dało się temi słowami oszukać.

— Kobieta nie wie dla czego i za co kocha, nie pyta: zali kochać radością jest, lub boleścią? Ani szczęścia nie żąda, ani chce od ukochania swego opieki. Kocha tylko i wzajemności pragnie.

— Dla miłości dość tego, gdy grunt do kochania znajduje. Kocha wtedy nawet, gdy już wzajemność ją odbiegła, bo uczucie to trwa nie o tem co dostaje, ale o tem, co dostać-by mogło.

— Miłość jest ślepa, nienawisć widma widzi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty tomu III-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia.**

TREŚĆ. Pod zatoką Salaminy, poezya, przez M. Ilnicką. — Pogawędka. — Któs, powieść, (dalszy ciąg) przez J. I. Kraszewskiego. — Król Agis dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Nowiny paryżkie. — Geraldina Calverley, (do-kończenie), przez M. I. — Miłość, z Jokay'a.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Марта 1884 года.